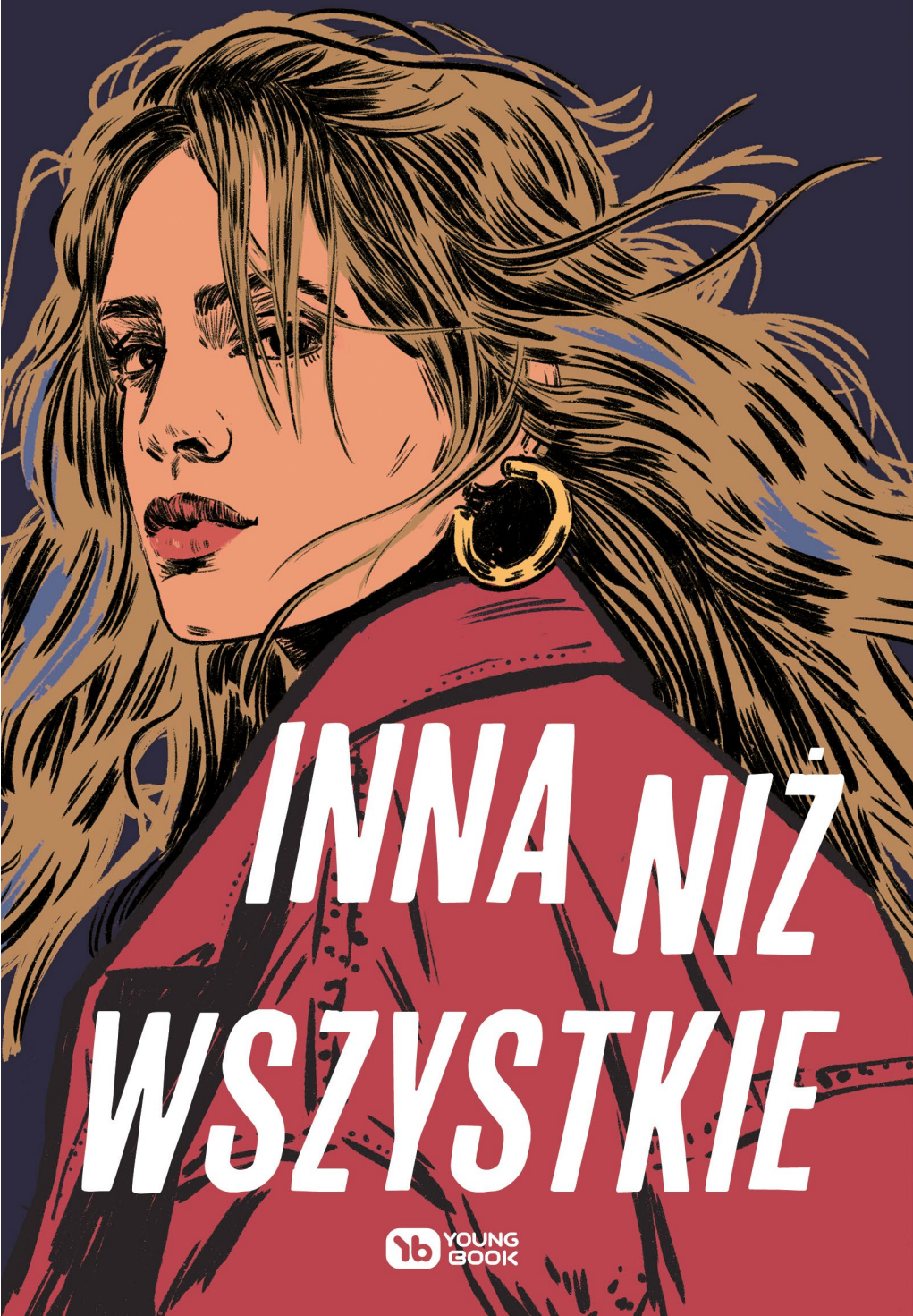


Meredith Adamo



**INNA NIŻ
WSZYSTKIE**

Yb YOUNG
BOOK

- 1 -

Na tym polega problem z dziewczynami takimi jak ja...

Tak przy okazji, to tekst mojej matki. Dajcie tej kobiecie podwójną whisky po długim dniu w stacji telewizyjnej, a trzy minuty później będzie siedziała po turecku na podłodze w kuchni z pudełkiem zdjęć, wygrzebując moje najlepsze fotki.

Jojo w wieku czternastu lat, z aparatem na zębach, ale mimo to piękna, w diademie na spłowiałych od słońca włosach.

Joey piętnastoletnia, świeżo upieczona przewodnicząca drugiej klasy, oszołomiona swoją spektakularną wygraną.

Szesnastoletnia Joles, najlepsza sprzedawczyni czerwca w lodziarni Costello, pozująca nieco zbyt dumnie z czekiem bonusowym.

Niezależnie od tego, jak często powtarzamy tę scenę – a możecie mi wierzyć, robimy to często – matka nigdy nie odbiega od scenariusza.

– Mój Boże, Jo-Lynn, spójrz tylko na siebie – mawia, a alkohol podkreśla jej śpiewny akcent z Tennessee. – Zobacz, kim mogłabyś być, gdybyś się postarała.

Czasami się buntuję, odpowiadając na przykład:

– To doprawdy wielka strata, że się nie realizuję w konkursach piękności, samorządzie szkolnym oraz przemyśle lodziarskim.

Najczęściej jednak znoszę jej wyrzuty w milczeniu, aż matka w końcu wzdycha, nie ze złością, tylko z rozczarowaniem, i stwierdza:

– Nie postarasz się. Nigdy tego nie robisz. Na tym polega problem z dziewczynami takimi jak ty...

Ma na myśli niegrzeczne dziewczyny. Zuchwałę. Trudne panice, które pyskują i się obijają, kpią z ułożonych chłopaków, mających ułożoną przyszłość, i prychają lekceważąco – niekoniecznie wrednie, ale też niezbyt miło – gdy inne dziewczęta odważą się zabrać głos na jakiś temat. Wystarczy dowolny synonim do „złej”, taką właśnie dziewczyną jestem.

To znaczy byłam. Czas przeszły. Staram się – naprawdę s t a r a m – poprawić albo przynajmniej być mniej paskudna. Lecz problem z dziewczynami takimi jak ja polega na tym, że z niezwykłą łatwością wszystko zawalają.

– Spokojnie – mówię do siebie na głos w swoim pokoju. – Wszystko jest dobrze.

Nie panikuję. Jeszcze nie. Nie, teraz próbuję być wielozadaniowa: wciskam się w czarne legginsy, przekopuję kosz na brudy w poszukiwaniu w miarę czystego swetra, dzwonię do Milesa Metcalfa, używając telefonu z klapką. (Nie z wyboru, żeby było jasne; to jest „konsekwencja moich poczynań”). Rozlega się jeden sygnał. Drugi. Przy trzecim wyczesuję palcami kołtun z mokrych, splątanych włosów. Przy czwartym wyjmuję z kosza golf, burozielony i dwa rozmiary za duży.

Przy piątym wzdycham z irytacją.

– Mój Boże, Miles, możesz odebrać?

Nie odbiera. Rzucam telefon na łóżko i słucham powitania na poczcie głosowej: „Hej, tu Miles Metcalf. Przepraszam, że nie odebrałem, ale skontaktuję się, gdy tylko będę mógł”.

– Elo, tu Jo. – Przeciskam głowę przez golf. – Pilnie potrzebujesz nowego tekstu, ziom. „Skontaktuję się”? Co ty, masz pięćdziesiąt lat? – Milknę. Próbuję się uspokoić. Biorę telefon do ręki i dodaję: – Wiem, że pewnie jesteś już w szkole albo w drodze do niej czy coś, ale pilnie potrzebuję podwózki. Zostaniesz moim bohaterem na wieki wieków, pozdro, pa.

Zamykam telefon, a głośny stuk klapki niepokoi moją kotkę Bazylię. Spogląda, nie mrugając oczami, ze swojej grzędę na oknie.

Jeszcze nie zauważyła, że warstewka lodu pokryła szybę, zasłaniając widok na zaśnieżoną ulicę. Bazylia jest piękna, ale pod kopułą ma wyłącznie biały szum.

Celuję w nią palcem.

– Nie osądzaj mnie, kocico.

Panikuję i miotam się tak z powodu zepsutego budzika.

No dobra, jest zepsuty w takim sensie, że zapomniałam go wczoraj nastawić, mimo że nagryzmoliłam: „NASTAW BUDZIK!!!” na wściekle różowej karteczce i przykleiłam ją do lustra w łazience. Gdy szcztokowałam zęby, miałam przed oczami to przypomnienie i oczywiście pomyślałam: „Aha, muszę to zrobić”. A potem tego nie zrobiłam.

Ale nie panikuję, pamiętacie? Smaruję korektorem ogromny pryszcz na brodzie, dźwigam plecak z podłogi i wypadam na korytarz. Bazylia śmiga obok mnie na dół po schodach, lecz ja za nią nie idę. Najpierw muszę zaliczyć najważniejszy przystanek.

– Lee! – Pukam do drzwi pokoju mojego brata. Materac skrzypi, ale nikt nie odpowiada. Łomoczę mocniej. – Hej, debilu, wiem, że nie śpisz. Potrzebuję podwózki do szkoły – szepczę.

– Co?

– Spóźniłam się na autobus – wyjaśniam głośniejszym głosem i otwieram drzwi. Wytężam wzrok w zaskakującej ciemności: rolety są opuszczone, do tego na karniszu wisi wyblakły polarowy koc. Mrugam, próbując przyzwyczaić wzrok. – Kurczaki, leżysz na łożu śmierci?

– Boli mnie głowa – odpowiada, jakby mówienie też sprawiało mu ból. Jakbym była zbyt tępa, żeby zauważyć na nocnym stoliku otwartą flaszkę najlepszego bourbona taty. Ziewając i się przeciągając, mój brat dodaje: – Ale przeżyję.

– To super, bo musimy jechać. – Zerkam na jego budzik: cztery minuty po siódmej. To oznacza, że mam dwadzieścia sześć minut do pierwszego dzwonka, po którym lepiej, żebym już siedziała w pracowni komputerowej u pana Chopry, bo inaczej... Z trudem przełykam ślinę. – Natychmiast.

– Poproś tatę.

– Porzucił nas.

– Na zawsze?

– Gorzej. – Opieram się o framugę. – Na śniadanie.

To taka tradycja. Raz na dwa miesiące tato i jego dawni kumple, szefowie kuchni, spotykają się w knajpie Flower City na cześć minionych dni chwały, kiedy to wytaczali się pijani ze swoich restauracji o piątę nad ranem i ruszali na poszukiwanie czarnej kawy i naleśników.

– Poproś swoich przyjaciół – proponuje Lee. – To znaczy przyjaciela, w liczbie pojedynczej.

Niegrzeczne, ale prawdziwe.

Niestety Miles, jak zawsze nadambitny, codziennie melduje się w szkole godzinę przed czasem. Najczęściej rano wypełnia testy na zajęcia z nauk ścisłych lub ćwiczy gamy na saksofonie barytonowym. W pozostałe dni jada śniadanie – bajgiel jagodowy na zimno z masłem – w towarzystwie dyrektora Lund.

Otak, dla rozrywki.

Zapewne dzięki temu, że jest liźydupą, zagwarantuje sobie pozycję najlepszego ucznia i piętnaście tysięcy dolarów stypendium „ufundowanego dzięki hojnemu wsparciu Stowarzyszenia Absolwentów Liceum Culver oraz obserwatorów takich jak wy, dziękujemy”, a ja... nie.

Rzecz w tym, że:

– Miles nie wchodzi w rachubę. Nie możesz choć raz czegoś dla mnie zrobić, Lee? Nigdy o nic nie proszę. – Szybko dodaje: – Poza podwózką od czasu do czasu.

– Nie ma mowy. – Kładzie się na brzuchu. – To nie moja wina, że jesteś...

– Jaka jestem? – odpowiadam, jakbym rzucała mu wyzwanie. „No dawaj, spróbuj”.

Lee podnosi głowę powolnym, zbolałym ruchem. Przygląda mi się przez chwilę. Piaskowe włosy ma przyklepane z jednej strony, a jego oczy błyszczą szkłście w mroku sypialni. Po chwili znów składa głowę na poduszce.

– Zamknij za sobą drzwi, proszę.

Mogłabym się z nim kłócić. Powiedzieć: „Nie udawaj, że nadal jestem jedyną porażką w tej rodzinie”. Ale mam za mało czasu. Wychodzę, unosząc środkowe palce i zostawiając drzwi szeroko otwarte. Wołam jeszcze z podestu schodów:

– Na szczęście mam plan awaryjny!

Dobrze, że nie wie, na czym ten plan polega. Wpadam do kuchni, w której wisi gęsty gorzki aromat porannej kawy taty, i zgarniam z blatu kluczyki do samochodu Lee. To, że czterokrotnie oblałam egzamin na prawko, nie oznacza, że nie potrafię prowadzić auta. Oznacza tylko, że nie jestem w tym zbyt dobra. Głównie w parkowaniu równoległym i skrętach w lewo, ale komu to potrzebne?

Z całą pewnością dam radę przejechać trzy kilometry do Culver.

Bazyliia wychodzi za mną do przedpokoju i miauczy, jakby kpiła: „Taaa, jasne”.

– Dam radę, kocie. – Kładę kluczyki na konsoli obok portretowego zdjęcia Lee wykonanego na zakończenie liceum. Wygląda jak prawdziwy złoty chłopak: nieskazitelny smoking, błysk w oku i lśniący biały uśmiech, ukazujący dołki w policzkach.

Za to mój portret nie nadaje się do wystawienia. Trzymam jego kopię w szufladzie biurka, częściowo ukrytą pod garścią spinaczy, trzema przeterminowanymi kondomami i pomietą torebką zioła, którą wysepiłam od Cody’ego Forsythe’a zeszłej jesieni, kiedy jeszcze z nim rozmawiałam.

Kiedy w ogóle z kimkolwiek rozmawiałam.

– Wszystko dobrze... – zapewniam się cicho.

Na tym polega problem z dziewczynami takimi jak ja: powtarzamy sobie kłamstwa, aż zaczynają brzmieć jak prawda. Sznuruję buty: wszystko jest dobrze. Zapinam kurtkę pod brodę, a sztuczne futerko łaskocze mnie w nos: wszystko dobrze. Otwieram drzwi i moim oczom ukazuje się... śnieżny zimowy poranek?

– O kurde!

Śnieg pada wielkimi, ciężkimi płatkami, a niebo wygląda jak żółtoczarny siniak – jest równocześnie jasne i ciemne. Boże broń, by władze okręgu ogłosiły dzień wolny z powodu śnieżycy. To efekt

uboczny srogich zim w Rochester – jesteśmy na nie zbyt dobrze przygotowani. Pługi śnieżne, piaskarki, niezasłużona pewność siebie za kółkiem...

Bazylia znów miauczy: „No to powodzenia, kretynko!”

Ale jakie mam wyjście? Zadzwoić do Milesa jeszcze z milion razy? Albo gorzej jeszcze, do mojej matki do Channel 12 i przyznać, że znowu zawaliłam, potwierdzając, że jestem dokładnie taką dziewczyną, za jaką mnie uważa?

Mowy nie ma.

Ruszam i szybkim ruchem sięgam po kluczyki. Za szybkim. Spadają na podłogę, a ja z rozpędu wychodzę z pustymi rękami. Wzdycham, klnąc pod nosem, ale kiedy się odwracam...

– Tego szukasz? – Lee podzwania kluczykami trzymanymi w rękę. Choć jego twarz ma odcień zielonkawej bieli, udaje mu się krzywo uśmiechnąć, gdy stwierdza: – Sprytnie, Jo.

A potem zatrząskuje mi drzwi przed nosem.

Siła uderzenia wstrząsa witrażowym oknem. Klapka we wrzucie na pocztę unosi się i po chwili opada. A mnie ogłusza tak, że nawet nie przemyka mi przez myśl, by sięgnąć do gałki w drzwiach, dopóki nie rozlega się głuchy stuk zamykanego rygla.

Walę czołem w szybę.

– No to klops.

– Dasz radę!

Odchylam głowę do tyłu. Każdego innego dnia mogłabym żartować z tej sytuacji. „Rany, ale błyskawiczna akcja, ha, ha”. Ale nie dziś. Dziś wypuszczam powietrze z płuc, a mój oddech formuje obłok na mrozie, i robię jedyną rzecz, której staram się nigdy, przenigdy nie robić: spoglądam na drugą stronę ulicy.

Niczym obiektyw, wyostrzający się na właściwym punkcie, mój wzrok pada na śliczną, miłą Maddie Price.

Stoi pod ostatnią włączoną latarnią uliczną, a złoty promień oświetla ją i – co najważniejsze – jej durną białą toyotę prius. W jednej okrytej rękawiczką dłoni trzyma zmiotkę do śniegu, drugą przyciska telefon do ucha.

– Przecież się zgodziłam. – Jej słowa ledwie słyhać, ale ton ma ostry. Może jest zirytowana.

Chrzanić to. Teraz chichocze. Pewnie rozmawia z Codym. Chodzą ze sobą od trzech miesięcy? Czterech? Tak się przechwała, że jest najlepszym chłopakiem na ziemi, jakby była pierwszą dziewczyną, która się kiedykolwiek zakochała. Nieważne, że ani jedno jej słowo nie jest prawdą.

Wierzcie mi, znam prawdziwego Cody’ego Forsythe’a. Pewnego dnia Maddie też go pozna.

Lecz teraz mówi:

– Do zobaczenia niedługo.

I, kończąc rozmowę, uśmiecha się z rozmarzeniem.

Doskonała okazja, by zawołać:

– Maddie!

Zaskoczona szybko zerka w moją stronę, ale równie szybko odwraca wzrok. Gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że pomyślała: „Eee, a ta czego chce?”. Pędzę w jej stronę po zaśnieżonym chodniku.

Staje do mnie plecami, zmiatając ostatnią warstwę puchu z przedniej szyby. Pewnie chętnie by mnie ignorowała przez całą wieczność, ale niestety ślizgam się na lodzie i z impetem wpadam w bagażnik jej auta, niemal się wywracając, co obiektywnie jest zabawne, ale ona się nie śmieje. Ani nie uśmiecha. Nawet nie mruga.

Kiwam do niej głową, łapiąc pion.

– Co słyhać?

– Zgubiłaś się? – Strząsa płatek śniegu z policzka, jakby już się mną znudziła.

– Och, nie. Mieszkam tu. – Wskazuję kciukiem za plecy.

– Żartowałam.

– Jasne. Ja też żartowałam. – Parskam wymuszonym śmiechem. Ona nie jest wcale rozbawiona. – Widzisz, żart polega na tym, że jesteśmy sąsiadkami, więc...

– Chcesz czegoś, Jo? – Maddie krzyżuje ramiona na piersi. Wstrząsa nią dreszcz. Mroźne powietrze zabarwiło jej twarz na bolesny różowy kolor. Koniuszki uszu ma jeszcze ciemniejsze. Jej

dzisiejszy strój – dopasowane spodnie, botki do kostek, miękki kremowy sweter pod rozpiętym wełnianym płaszczem – wygląda zarówno modnie, jak i praktycznie.

– Wyglądasz jak z cholernego katalogu L.L. Bean – wyrywa mi się.

– To chciałaś mi powiedzieć?

– Tak. A właściwie nie. Mogę się z tobą zabrać? Zamierzałam zwęździć samochód brata, ale...

Mówię w ten sposób: „Jesteś moją jedyną nadzieją”. Maddie też o tym wie. Zna na pamięć rozkład jazdy autobusów z czasów przed prawkiem, więc rozumie, że bez jej pomocy się spóźnię. Wzdycha z rozdrażnieniem, ale dałabym sobie głowę uciąć, że niechęć w tych lodowatobłękitnych oczach topnieje. Zdecydowanie jej ciało się rozluźnia. Jestem pewna, że...

– Nie.

Tak jakby parskam śmiechem.

– Słucham?

Maddie robi wielki krok w moją stronę. Stoimy tak blisko, że widzę w kąciku jej ust smugę różowego błyszczyka. Czuję perfumy o zapachu kwiatu pomarańczy. Jest dobre dwanaście centymetrów wyższa ode mnie, ale się nie kulę. Co to to nie.

Nawet gdy oświadcza z uśmiechem tak szerokim, że niemal dzieli jej twarz na pół:

– Nie, Jo. Nigdy.

Stoimy tak – w milczeniu i bezruchu – wydawałoby się, że przez całą wieczność. W końcu zakładam zamarznęty lok za ucho i stwierdzam:

– Strasznie to podłe.

– Nie wiem, czego się spodziewałaś. – Maddie z trudem otwiera drzwi auta, walcząc z podmuchem wiatru, który porusza jej delikatnie falowanymi włosami. – Nie żebym była wredna, ale dlaczego miałabym ci w czymkolwiek pomagać?

– Dlatego, Maddie.

Jestem bezwstydna. Zmuszam ją, by przypomniała sobie, jak ta sytuacja – my dwie, razem, gadające na chodniku – wydawała

się zupełnie normalna ledwie kilka lat temu. Wiem, że ona też to pamięta.

Przez sekundę się waha – jej złośliwy uśmiech blednie, a między brwiami pojawia się lekka zmarszczka.

W końcu to śliczna, miła Maddie Price. Nie chciałam, by to określenie do niej przyłgnęło. Prześladowało ją aż do ostatniej klasy. Ale nie zrujnowało jej życia i nie jest kłamliwe. Dziewczyna ma doskonałą frekwencję, świetne oceny, niemal zagwarantowane przyjęcie na NYU*. Dodajmy do tego chłopaka, który jest gwiazdą futbolu, i popularnych przyjaciół, a ujrzymy obraz dokładnie odpowiadający oczekiwaniom.

Nikt się dwa razy nie zastanawia nad taką dziewczyną.

Maddie potrząsa głową, jakby próbowała pozbyć się tej właśnie myśli, i opada na fotel kierowcy.

– Powodzenia z szukaniem transportu.

– Maddie, poczekaj. – Blokuję drzwi nogą. – Wiesz, że nie mogę się spóźnić. Po prostu nie mogę.

Wygina usta.

– A to dlaczego?

Pytanie retoryczne. Od sześciu tygodni jestem na warunkowym i jakoś wszyscy o tym wiedzą. A spóźnienie oznacza dodatkowy tydzień do mojego wyroku, który powinien się skończyć jutro, gdy ukażą się oceny za pierwszy semestr, więc naprawdę nie mogę się spóźnić.

– Na Boga, Maddie, chcesz, żebym błagała? Proszę bardzo. – Opadam na kolana i szeroko rozkładam ramiona. – Wiesz, że nigdy bym nie prosiła, gdybym nie była zrozpaczona, ale nie mam...

Trzaska drzwiami. Dźwięk niesie się echem po ulicy i przenika mnie aż do kości.

Czyli tak to się skończy: Maddie odjedzie, ja zostanę sama.

Ale najpierw otwiera okno i wystawia przez nie głowę, wokół której wściekle wiruje śnieg.

* NYU, New York University (ang.) – Uniwersytet Nowojorski.

– Ani trochę ci nie współczuję – oznajmia ze śmiertelną powagą. – Sama jesteś sobie winna.

Znów parskam śmiechem, ale tym razem to boli. Mocno. Obdartywszy mnie ostatnim uroczym uśmiechem, Maddie rusza spod krawężnika.

Coś gorącego szczypie mnie pod powiekami. Nie będę płakała. Ja nigdy nie płaczę. Nawet wtedy, gdy miałam dziewięć lat, potknęłam się na chodniku, upadłam i obluzowałam przednie zęby, a usta wypełniła mi krew. Ani w czasie zeszłych wakacji, kiedy przebiłam sobie stopę zardzewiałym gwoździem, ani wcześniejszego lata, gdy chłopcy się upili i powiedzieli, że to oni wydrapali kiedyś moje imię na pisuarze, i dlatego nie wyluzuję, przecież to tylko żart, no nie?

Zatem nie. Przez Maddie Price też się nie rozkleję.

Zamiast tego wstaję. Otrzepuję topniejący śnieg z mokrych, zmarzniętych kolan.

I z niewyjaśnionych przyczyn przypominam sobie kolejne zdjęcie – to, którego moja mama nie może nigdy zobaczyć.

Zostało zrobione ostatniej jesieni, pod koniec października. W noc ogniska na plaży w parku Durand Eastman. Na tej fotce jestem ubrana w obcisłe dżinsowe szorty, znoszone białe trampki i czarną bluzę na zamek, która nie należy do mnie. Wystarczyłby sposób, w jaki przechyliłam głowę, prezentując malinkę na łuku szyi, ale znacznie gorszy jest mój uśmiech. Przekorny. Kokieterystyczny. Jakbym już wtedy wiedziała więcej, niż niektóre dziewczyny się kiedykolwiek dowiedzą.

A gównu wiedziałam.

Zwłaszcza tego, że gdy nocne niebo wypełni się gwiazdami, gdy ognisko będzie z sykiem dogasało, a we wszystkich telefonach rozlegnie się dźwięk powiadomienia: SZEŚĆ NOWYCH ZDJĘĆ, nagle stanę się najgorszą wersją siebie: siedemnastoletnią Jo, wyrzutkiem.

Ale pewnie na tym polega problem z dziewczynami takimi jak ja. Zawsze dostają to, na co zasługują.

- 2 -

Po niecałych pięciu minutach tracę czucie w palcach. Minutę później śnieg wsypuje mi się do butów. Po kolejnych dwóch skręcam na rogu koło sklepu rybnego i wpadam w poślizg na lodzie, dla równowagi chwytając się znaku na przystanku autobusowym i szepcząc:

– Kurdekurdekurde.

Nie muszę szeptać. W pobliżu nikogo nie ma. Nawet plac po drugiej stronie ulicy jest opustoszały, od bankomatu aż po 7-Eleven, gdzie wraz z chłopakami – kiedy jeszcze byli moimi kumplami – wpadaliśmy po przekąski. Zawsze kupowałam ten sam zestaw: krakersy, paczkę surowych cynamonowych bułeczek i karton soczków Capri Sun.

Czuję ukłucie w sercu. Brakuje mi takich drobiazgów. Tego, jak opróżniałam sześć soczków jeden po drugim. Jak otwieraliśmy opakowanie bułeczek i zgarnialiśmy lukier palcami. Jak niemal się dławiliśmy, próbując powstrzymać śmiech, bo byliśmy głupi, upaleni i zupełnie nic nie mogło nas dotknąć.

Cyfrowy wyświetlacz na banku zmienia się z minus siedmiu stopni na siódmą dwadzieścia jeden.

Ukłucie w sercu staje się mocniejsze. Pełne złości. Przedłużenie okresu warunkowego jest już pewne, podobnie jak satysfakcja Maddie. Oczyma wyobraźni widzę, jak zarzuca ramiona na piegowatą szyję Cody'ego i szepcze, muskając ustami jego ucho: „Jo łatwo pada na kolana, co nie?”.

Za moim plecami rozlega się klakson. Wyjmuję rękę z kieszeni, gotowa pokazać środkowy palec, ale klakson znów robi „biiip-biiip”. Przygotowana na awanturę zaglądam w otwarte okno i widzę...

– Mój bohaterze!

Miles Metcalf uśmiecha się, wciskając język w przerwę między górnymi jedynekami.

– Pochlebiasz mi.

– Tylko gdy na to zasłużysz, a zasługujesz, ziom.

Wzrusza ramionami, lekko zawstydzony.

– Posypywałem solą chodnik przed domem sąsiadów. To starsi, sympatyczni ludzie. Ale odsłuchałem twoją wiadomość przed wyjazdem i domyśliłem się, że zapomniałaś telefonu, więc pojechałem trasą... – Milknie na widok mojej miny. – Przepraszam. Za dużo papłę. Wsiadaj!

Ciągnę za klamkę i z samochodu wypadają dwie puste puszki po red bullu. Na podłodze leży kolejnych dziesięć, a na siedzeniu kilkanaście połamanych cukierków w kształcie serc.

– Przepraszam za bałagan. – Zgarnia okruchy na dłoń, a potem się gapi, jakby pytał: „Co mam zrobić z garścią połamanych serc?”. W końcu rzuca je na tylne siedzenie.

– Bez urazy – mówię, wsiadając i rozkopując stertę puszek – ale czy twój samochód kiedyś wyglądał inaczej?

Marszczy brwi, lecz nie oponuje. Nie miałoby to sensu. Jego organizm funkcjonuje na cukrze i kofeinie. Miles nosi w kieszeniach kilka paczek kwaśnych żelków, a napoje energetyczne źłopie jak wodę. Jeśli coś może podnieść mu tętno i/lub zabarwić język na niebiesko, na pewno to pochłonie.

Z uchwytu na kubek wyjmuję cukierka Starburst, odwijam z papierka i wsuwam do ust.

– Jedź szybko – ponaglę. Czekaj, aż zapnę pas, i ruszaj z poślizgiem, zaciskając pobielełe palce na kierownicy, która niemal wyrwa mu się z rąk. Nerwowo łapię za uchwyt nad drzwiami. – Ale też bezpiecznie...

– Sorki, sorki, sorki. – Wciska pulsacyjnie hamulec, dopóki opony znów nie odzyskują przyczepności, i wypuszcza powietrze z płuc. – Nieźle jak na pierwszy raz, co?

Kradnę kolejnego starbursta.

– Pierwszy raz?

– Pierwszy raz w takich warunkach pogodowych. Zima była łagodna, więc... – Miles milknie i się czerwieni. Chłopak ma koszmarłą skłonność do rumieńców. Prowokują go najmniejsze drobniaki: zła odpowiedź na teście, rude dziewczyny z grzywką, sama wzmianka o seksie.

Gdy czytaliśmy *Romea i Julię* w dziewiątej klasie, pan Hardy pozwolił nam obejrzeć adaptację filmową pod warunkiem, że zachowamy spokój w tej milisekundzie, w której widać piersi Julii. Większość chłopaków śliniła się w oczekiwaniu na tę scenę. Ale nie Miles. Nerwowo kiwał nogą, stukając w ławkę, i ścisnął ołówek w morderczym chwycie, niemal łamiąc go na pół.

Tuż przed sceną, gdy w oczekiwaniu pochylił się na krzesłach, Cody mruknął:

– Już po wszystkim, gościu.

I Miles uniósł wzrok idealnie we właściwym (niewłaściwym?) momencie. Natychmiast spuścił głowę, totalnie zażenowany, ale nie dość szybko. Zobaczył.

Gorzej – wszyscy widzieliśmy, że zobaczył.

Zgotowaliśmy mu piekło. Chłopaki chichotały, kopały jego krzesło, przerzucały się jego ołówkiem. Ja postukałam go palcem w ramię i spytałam teatralnym szeptem:

– O mój Boże, stanął ci?

Próbował coś powiedzieć, wydusić zaprzeczenie, ale z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk. Jak nazywa się głęboka czerwień? Purpura? Szkarłat? Tak mocno płonęła mu twarz. A my wszyscy – ja i chłopaki, moje chłopaki, których uważałam za kumpli – śmiałyśmy się do rozpuku z biednego, nieśmiałego, niewinnego Milesa.

A teraz proszę bardzo! Oto ja i on, który jako jedyny pozostał przy mnie, kiedy ostatniej jesieni wszystko się rypnęło. Mój przyjaciel, w liczbie pojedynczej.

Szczypię go w policzek.

– Czuję się zaszczycona, że twój pierwszy raz odbył się ze mną.

– Taa, jasne. – Odręca moją rękę. – Uważasz, że jesteś zabawna, prawda?

– Bo jestem. Szkoda, że wszyscy nie są tacy zabawni jak ja.

Miles parska śmiechem. Odgarnia loki, przyklepane przez wełnianą czapkę. Chyba chciałby coś powiedzieć, ale słowa zamierają mu na ustach. To mu się często zdarza: nasze przekomarzanie rwie się, co i rusz przechodząc w smutną, przygnębiającą ciszę.

– Buuu – buczę z rozczarowaniem. I to jest żart. Serio.

Milczenie wisi między nami, gdy Miles wjeżdża do tunelu. Kiedy wyłaniamy się po drugiej stronie, w oddali rysuje się kontur miasta, postrzępiony i szary na tle ciemniejszego nieba. Śnieg wkrótce straci swój urok, ale teraz wygląda to całkiem pięknie.

To znaczy nadal nie znoszę Rochester. Zawsze mieszkalam tylko tu i bardzo chcę się stąd wyrwać. Z całego serca.

Ale czasami sobie wyobrażam, jak by to było zostać.

Wtedy myślę o śniegu padającym powoli w zimowe poranki takie jak ten, kiedy wydaje się, że świat zamarł. Tak jakbym mogła po prostu... odetchnąć. A potem przez sześć miesięcy niebo jest bezustannie szare albo słyszę, jak ktoś mówi: „Widzisz tę dziewczynę? To jej gołe fotki...”.

Mój wzrok pada na zegar na tablicy rozdzielczej.

– Miles, muszę cię o coś poprosić.

Jego gęste brwi unoszą się odrobinę, a ja próbuję uśmiechnąć się uroczo, nawet bezradnie.

Wskazuję na prędkościomierz i sugeruję:

– Możesz trochę przycisnąć?

Kosztuje go to co najmniej dziesięć lat życia, ale pędzi, przekraczając dopuszczalny limit o całe osiem kilometrów na godzinę,

przejeżdżając nie na jednym, ale dwóch żółtych światłach, by do-
wieźć nas do Culver minutę przed czasem.

Wyskakuję, nim samochód się całkiem zatrzyma.

– Jeszczerazdziękizapodwózkę!

– Co? – Miles walczy z zapięciem pasa. – Poczekaj!

Nie mam czasu na czekanie. Biegnę przez oblodzony dziedzi-
niec i wpadam do szkoły przez wyjście ewakuacyjne obok sali mu-
zycznej. Przytłumiony hałas – bębnienie w pianino, zawodzenie
skrzypiec, ośliniony jęk puzonu – oznacza, że nikt się tu nie będzie
kręcił.

Świetnie, uniknę spotkania z dyrektorem Lund. Co rano wita stu-
dentów przy głównym wejściu w towarzystwie innych pracowni-
ków z trzeszczącymi krótkofalówkami przypiętymi do pasków. Za-
łożę się, że gdyby mnie teraz zobaczyła, posłałaby mi ten chłodny,
pewny siebie uśmiech i rzuciła:

– Sugeruję, żebyś się pospieszyła, Kirby.

Spieszę się, spieszę.

Skręcam w lewo, w skrzydło dla ostatnich klas, i wpadam do
pracowni komputerowej w tej samej sekundzie, w której rozlega
się dzwonek. Byłoby to imponujące dokonanie, gdybym głośno nie
łupnęła drzwiami o ścianę. Pan Chopra zerka na mnie znad okula-
rów bez oprawek, przyciskając marker do białej tablicy.

Cichutko zamykam za sobą drzwi.

– Przepraszam.

– Dziękuję, że zaszczyciłaś nas swoją obecnością – komentuje
nauczyciel i wraca do rysowania swojego autoportretu. – Usiądź.
I postaraj się nie zrobić sobie krzywdy, dobrze?

Strzelam do niego z palca jak z pistoletu, mrużąc oko i kłaskając
językiem, a potem wchodzę prosto w stolik z drukarką. Nikt nie
jest na tyle uprzejmy, by udawać, że tego nie zauważył. Nie bliźnia-
ki, Kyle i Tyler Spencer z identycznymi uśmiechami na twarzach.
Nie April Kirk, która przeszywa mnie złym wzrokiem spod ogni-
storudej grzywki.

Nie Hudson Harper-Moore.

Śledzi każdy mój krok w stronę ostatniego rzędu ławek, w którym siedzimy przedzieleni pustym krzesłem. Przeżuwa plastikowe miezadefko z kawy na wynos, ale bezsprzecznie próbuje ukryć uśmiech. Sposób, w jaki mierzy mnie wzrokiem, jak unosi kącik ust...

Poruszam wargami, żądając bezgłośnie: „Prześtań”.

Ale on nie przestaje.

Odchyła się na tylnych nogach krzesła i mówi tak, bym tylko ja usłyszała:

– Mocne wejście...

Kładę rękę między jego łopatkami i naciskam w dół. Udaje mu się wyprostować, nim się wywróci, ale krzesło głośno stuka metalowymi nogami o linoleum.

Pan Chopra odsuwa się od tablicy.

– Dlaczego nadal stoisz, Jo?

– To nie ja!

– Dlaczego nadal stoisz? – powtarza. Siadam. Nauczyciel wygląda dokładnie tak jak jego kreskówkowy portret: ramiona splecione na piersi, usta zaciśnięte w cienką linię, ponury, ale nie groźny. – Wszystko w porządku?

– Tak, poradziłam sobie. – To nie miał być żart, ale Hudson przykłada wierzch dłoni do ust, tłumiąc śmiech. Zrzucam kurtkę z ramion, bo nagle robi mi się gorąco. – Zamknij się, Hudson.

Chłopak wyciąga ramię i wspiera je o oparcie pustego krzesła.

– Przepraszam, czy ja coś mówiłem?

– O, nie. Nie zamierzam prowadzić z tobą tej gry.

– Jakiej gry? – Przekrzywia głowę, ucieleśnienie niewinności, a pasmo ciemnych długich włosów wymyka mu się zza ucha. Pod tym kątem doskonale widzę jego twarz – piegi rozsypane na nosie, ciepłe brązowe oczy ze złocistymi plamkami, małą bliznę na górnej wardze.

A potem ma czelność się do mnie uśmiechnąć.

Hudson nie jest wcale okropny. Miło się na niego patrzy i to w gruncie rzeczy przyzwoity gość, ale się nie przyjaźnimy. Już nie. No dobra, być może raz (albo dwa) przyjaźniliśmy się dość blisko, ale

ognisko, nudesy, wszelkie przykre następstwa szybciotko wszystko między nami zabiły.

Choć on nigdy nie stawiał mnie pod pręgierzem jak reszta tych dupków.

Ale mimo to jest cholernie irytujący.

– Wiesz co? – Prostuję oba środkowe palce. – Jesteś trzecią osobą, której dziś to pokazuję, ale teraz robię to z pełnym przekonaniem.

– Dzięki. – Po raz kolejny maskuje uśmiech, tym razem popijając kawę, jakby wygrał tę rundę gry, w której podobno w ogóle nie bierze udziału. Tej, dzięki której dorobiliśmy się jako para tytułu Najgorętszego Flirtu.

Tej, w której ja już nie mogę uczestniczyć.

Kładę dłonie płasko na blacie stołu i przekazuję mu wiadomość ruchem warg. Krztusi się kawą i wypłuka resztki do kubka. Wycierając brodę, zwraca się do nauczyciela:

– Panie profesorze, Jo właśnie kazała mi się p...

– Dwie minuty. – Chopra ściska nasadę nosa. – Zostały tylko dwie minuty.

– Co jest za dwie...? – zaczynam.

Hudson obraca monitor w moją stronę.

NIE ZAPOMNIJ!! Dziś **ostatni dzień** składania aplikacji na staż uczniowski.

Podania otrzymane po **11:59 piątego lutego** zostaną zwrócone bez rozpatrzenia. Bez wyjątków i dodatkowych terminów!

W celu uczczenia tego ekscytującego wydarzenia dyrektor Lund zaprasza ostatnie klasy do sali gimnastycznej podczas pierwszej przerwy na **SPECJALNĄ NIESPODZIANKĘ** ufundowaną przez absolwentów-mentorów! Zostaną podane lekkie przekąski.

Obecność **obowiązkowa** 😊

Osuwam się na krzesło, aż mój tyłek wystaje poza siedzisko.

– Ten uśmieszek ze mnie szydzi.

– Ze mnie też – mamrocze Hudson.

Staż uczniowski to doroczny program mentorski, w którym dobiera się w pary absolwentów Culver oraz najbardziej obiecujących młodych liderów. (Owszem, ściągnęłam tę frazę z ulotki przyklejonej we wszystkich kabinach toaletowych w budynku). Od „bezcennego doświadczenia zawodowego” po cudne, słodkie nawiązywanie kontaktów ten program to mokry sen najlepszych uczniów najlepszej szkoły w rejonie.

Choć mimo **wytluszczonej** KAPITALIKÓW oraz dwóch (!!)

wykrzykników rzeczywiście zapomniałam o ostatecznym terminie – ale miałam słuszny powód.

A mianowicie taki, że gównu mnie to obchodzi.

– Dobra, dzieciaki – mówi Chopra po sprawdzeniu obecności i jakimś cudem brzmi to jak zakończenie zajęć. Rozlega się szuranie krzeseł i zapinanie zamków błyskawicznych. A potem jakby po namyśle nauczyciel dodaje: – Jo, możesz chwilkę zostać?

– A muszę? – pytam. Jego mina oznacza, że tak. Gdy sala pustoszeje, podchodzę do jego biurka, biorę długopis i rysuję rządki smutnych buziek na liście obecności. – Co to za specjalna niespodzianka?

– Spotkanie i przywitanie z mentorami – wyjaśnia. Ostatniej smutnej buźce dodają zmarszczone brwi i jest teraz najsmutniejsza i najbardziej wściekła ze wszystkich. Pan Chopra zabiera mi długopis. – Jo, spóźniasz się z layoutem.

– Jakim layoutem? – Udaję, że nie wiem, o czym mówi. Chodzi mu oczywiście o layout książki pamiątkowej dla ostatnich klas, mój projekt zaliczeniowy w tym semestrze. Możliwe, że miałam go oddać dwa tygodnie temu.

– I jesteś mi winna sześć miniprojektów. S z e ś ć. Musiałem... – Chopra milknie i stuka długopisem w klawiaturę. – Conti poprosił o twoje portfolio.

Żołądek mi się skręca ze strachu.

– Co? Dlaczego?

Wiem dlaczego. Pan Conti, zastępca dyrektora i wrzód na tyłku, sprawuje nadzór nad moim okresem warunkowym. Przez ostatnie sześć tygodni przestrzegałam wszelkich ustaleń i zasad. Żadnych spóźnień, zostawiania po lekcjach, interwencji administracyjnych. Jutro mamy się spotkać w sprawie zakończenia mojej kary.

Zakończenia jej!

– Powiedziałem mu, że muszę przekonwertować format pliku, by go wysłać, ale że dostarczę go do środy. – Każde słowo wymawia powoli i starannie. Z naciskiem. Dodaje cicho: – Nie mogę cię dłużej kryć, Jo.

– Nie, wiem. Wiem. – Ruszam do drzwi. – To będzie najlepsze portfolio, jakie pan...

– Zmykaj – przerywa mi.

Chętnie stosuję się do polecenia.

WYDAWNICTWO BUKOWY LAS



@wydawnictwobukowylas



wydawnictwobukowylas



wydawnictwobukowylas



bukowylas.pl

KUP TERAZ



swiatksiazki.pl

GDZIE JEST MADDIE?

Kiedy śliczna, miła Maddie zwierza się dawnej przyjaciółce, Jo-Lynn, że wpadła w kłopoty, Jo uznaje to za żart. Od paru miesięcy, odkąd wyciekły jej nagie fotki, Jo jest wyrzutkiem społecznym, a całe otoczenie uważa, że zasłużyła na swój los. Lecz potem Maddie znika.

Wszyscy uznają, że dziewczyna po prostu uciekła, jednak Jo czuje, iż ta historia ma drugie, mroczne dno. Aby dowiedzieć się prawdy, Jo zwraca się do tych, którzy ją odrzucili. Hudson, chłopak, z którym niegdyś flirtowała, też ma powody, by odnaleźć Maddie, proponuje więc Jo, że będą udawać parę, dzięki czemu dziewczyna zyska możliwość powrotu do grona znajomych.

Próbując odkryć, dlaczego przyjaciółka zniknęła, Jo zaczyna się zastanawiać, kogo tak naprawdę szuka: Maddie czy może dziewczyny, którą sama kiedyś była.

Odważna, dowcipna i ostra jak brzytwa powieść.

Wręcz olśniewająca.

Jessica Goodman, pisarka



Nr 21000216

ISBN 978-83-8074-725-8



9 788380 747258



youngbook.pl
bukowylas.pl

Cena: 44,90 zł